

Kronika

tygodniowa

Powitanie uroczyste przez miasto Kraków „krakowskich dzieci”, wracających pod rodzinną strzechę z pola walki, daje kronikarzowi sposobność do dalszego rozdziału sprawozdania z dziejów roku ubiegłego, specjalnie o ile to dotyczy kwestyi militarycznych.

Od sierpnia 1914 r. żyjemy do dnia dzisiejszego w ciągłym pogotowiu wojennym. Ostatnie dwa lata, to jest od chwili wydobycia się z pęt niewoli, tem się tylko różni od poprzednich, że, gdy wówczas bił się nam kazano, teraz chwycenie za broń było naszym świętym obowiązkiem, który nakazywał strzedz jak oka w głowie tego, co udało się nam zdobyć, dzięki takiemu nakładowi krwi, łez i innych ofiar.

Zanim jednak rozglądnęliśmy się w dziejach wojennych roku 1920., niech i kronikarzowi wolno będzie powitać od siebie naszych dzielnych zuchów, którzy ponownie stwierdzili, iż miał zupełną rację ten, kto powiedział, że każdy Polak, to urodzony żołnierz. Krąży między ludem „gadka”, że u Czechów podają bezpośrednio po urodzeniu, noworodkowi pierś męskiej, aby się dowiedzieć, jaka go przyszłość czeka, srebrnego guldena i skrzypce. Zależnie od tego, za co chwyci, wnioskują o jego przyszłym zawodzie. I to się podobno sprawdza w bardzo wielkiej liczbie przypadków, choć nie obejdzia się naturalnie i bez wyjątków, bo i młodzi Czechami znajdują się ludzie porządni (należący również do wyjątków...), nie mający żylki ani do muzyki ani do dzielenia się z bliźnim jego własnością, nawet wbrew jego woli i wiedzy.

W Polsce wybór nie był potrzebny. Każdy Polak redził się do korda, a tego ducha odsiedlaczyno pe przodkach i dzisiejsze pokolenie, dając przez szereg lat na różnych polach bitew tyle dowodów męstwa i bezgranicznego poświęcenia się, iż musiało to wprawić w podziw i swoich i obcych.

Witamy zatem naszych zuchów całym sercem, życząc im, aby powrót ten był już stały, by przykra konieczność nie powołała ich znowu do obrony granic zagrożonego państwa. Może wreszcie wojenne lata nastąpią miejsca pokojowym, aby dać sposobność naprawienia tych szkód, jakie nam wojna wyrządziła. W szkole uczono nas wprawdzie, że wojna ma swoje dobre i złe następstwa, niestety, dotychczas mieliśmy sposobność przekonania się o tych drugich. Być może, że i pierwsze pokazały się kłedy, ale dopiero w przyszłości, na którą trzeba nieraz bardzo długo czekać. Astro-nomowie stwierdzili, że w ostatnich dniach planeta Mars oddala się od ziemi w bardzo przyspieszonym tempie, zbliża się zaś Wenus, która jest może zwiastanką, iż po siedmiu latach „chudych” zaczynają się lata „tłuste”, wojna światowa zaś będzie tylko siedmioletnią, a nie, jak utrzymują pesymiści, trzydziestoletnią. Doczekanie się jej końca byłoby w danym wypadku połączone z pewnymi trudnościami, a każdemu i każdej z nas zależy na tem, aby się na własne oczy przekonać, jak i kiedy się zakończy i czy spełnią się obietnice i przewidywania tych, którzy ją wywołali, jakie ona to będzie miała dla ludzkości błogosławione skutki. Kończy się zatem okres panowania Marsa na niebie, może skończy się i na ziemi, skąd go, jak z zagrody Macia Dobrzyńskiego w „Panu Tadeuszu” wypędzi Ceres gospodarna.

Losami „krakowskich dzieci” zajmowały się w ciągu wojny niejednokrotnie „Nowości Ilustrowane”. Za ś. p. austriackich czasów tworzyły one 13. pułk piechoty i 16. strzelców (tak zwanej populiarnie „landwery”), rekrutujące się z samego Krakowa i najbliższej jego okolicy, nie mówiąc o innych formacjach, w których ludność ziemi krakowskiej bardzo licznie była reprezentowana. Były rząd austriacki, znając widocznie naszego rycerskiego ducha i animusz wojenny, chciał nam dać i dawał zawsze jak najwięcej sposobności do odznaczenia się na „pola chwały”. Było ono w samej rzeczy „polem chwały” dla naszych zuchów, nie uratowały przed ich wysiłki od zagłady tego co dawną już było przeznaczone na zniszczenie, Austriacy się rozsypali, niczem stara beczka, z poszczególnych jej kłepok powstały nowe organizmy państwowe, które mają się podzielić pozostałymi w spadku po „mamie” długami, w ich rządzie i Polaka.

W samodzielną i zjednoczoną Ojczyznę, która od pierwszych chwil swego powstania odgryzać się musiała sąsiadom, dyblącym na jej zagładę, „krakowskie dzieci” utworzyły 20. pułk piechoty, wchodzący w skład szóstej dywizji.

Dziś wracają między swoich z frontu bolszewickiego, aby odpocząć i nabrać sił na przyszłość, gdyby

się przypadkiem okazała potrzeba ponownego któregoś z kochanych sąsiadów, że nie należy wiać w cudzą kapustę... Stale granice państwa, to coś w rodzaju silnego płotu. My ich dotąd nie mamy, nie też dziwnego, że wszelakiego rodzaju nierogaczyna pcha się nam na ogródek i nieraz musi się wziąć kij w rękę, aby „wyprosić” nieporządanego gościa.

Dwa lata istnieje dopiero armia polska, ale miała już dość sposobności do okazania swego rycerskiego ducha. Mieliśmy już do czynienia z „braćmi stryjcznymi”, potomkami Czech i Rusa, i daliśmy im namacalny dowód, że swych praw bronić potrafimy, jeżeli zaś nie potrafiliśmy uzyskać wszystkiego, co się nam słusznie należy, to nie wina naszej słabości fizycznej, ale raczej intryg dyplomacji, umiejacej zawsze kota obrócić do góry ogonem i wmawiać w świat, że te głowa, bo tak wymagają czyjeś interesy.

Rok 1920. zajęły prawie w całości zmagania się z bolszewikami, których wódz, Trocki Borstein, poczuł w sobie ducha machabejskiego i energicznie asedił na Warszawę, ale daleko szybciej stamtąd „powracał”, na karku zaś siedzieli mu nasi dzielni obrońcy, którzy na razie musieli zapomnieć o przepisach staropolskiej gościnności, pytając „gościa”: „Kajś tam wiać?”...

Początek robiła ofensywa na Kijów, uwieczniona pomyślnym skutkiem. Dowodzona wprawdzie w kołach niektórych, że przedsięwzięcie to nie miało celu, pokazało się przecie, że go miało, zrobiło bowiem poważną dywersję w grupowaniu się wojsk bolszewickich na granicy zachodniej, opóźniało zatem ich napad na Polskę, gdy do niego nie byliśmy jeszcze dostatecznie przygotowani.

Potem przyszła kolej na inwazję bolszewicką i słomną kłęką czerwonej armii, tak pewnej swego sukcesu, że w ślad za nią postępował już ministerstwo, przeznaczeni dla Polski, mający w niej rozpocząć swą „błogosławioną działalność”.

W ostatniej chwili, gdy sytuacja zdawała się być już bez wyjścia, a nam zdążył się grozić niechybny upadek i zagłada, stał się cud! A dokonało go męstwo naszego żołnierza i jego bezgraniczne poświęcenie. Regularny żołnierz i armia spełnili swe zadanie, dzięki im, sztandary polskie okryły się nowym wawrzynem, a „kochani sąsiedzi” przekonali się, że z Polakami nie opłaci się zaczynać, bo... nie znają żartów i zaraz biorą się do bicia, gdy im coś nie przypadnie do gustu...

Na zakończenie roku przypadło wkroczenie wojsk polskich do Wilna, fakt, nie mający większego militarnego znaczenia, za to miał głębokie polityczne, był bowiem odruchem samostanowienia narodu o awym losie.

Te sukcesy osiągnął nasz żołnierz własny i jemu też należy się za te część i chwala. W krytycznej chwili zostawiła nas Koalicja samym sobie, być może dlatego, aby się przekonać, czy mamy dość sił, ciągle bowiem słyszy się idące od Zachodu głosy, że gwarancją pokoju światowego jest silna i potężna Polska.

Jeżeli zatem miał to być nasz „egzamin”, zdaliśmy go z celującym postępem. Cała pomoc sprzymierzeńców ograniczyła się na obietnicach, przysłaniu trochę oficerów i zaopatrzeniu nas w materiał wojenny, teraz im już niepotrzebny, a nabyty przez nas za grabe pieniądze.

Działalność naszego żołnierza okryła blaskiem nowym imię polskie i kazała się zgodzić Europie na tę przykrą rzeczywistość, że z Polską liczyć się należy i to nawet poważnie.

Żołnierz polski, na jakimkolwiek on stoi stopniu hierarchii wojskowej, spełnił zatem święte swój obowiązek, zyskując sobie też w ten sposób prawo do wdzięczności reszty społeczeństwa, które nie szczędzi go na każdym kroku swym dzielnym obrońcom.

Miał zatem Kraków rację, witając w ubiegłą niedzielę swoje „dzieci”, a komitetowi, który tem się zajął, należy się pełne uznanie. Z dumą, ale i wdzięcznością spogląda dziś stary Kraków na swych dzielnych synów, wracających, jako zwycięzcy.

Wrócili w przerzedzonych szeregach, część ich złożyła swe ciała na kresach, jak gdyby chcąc w ten sposób stwierdzić, że nawet po śmierci chcą stać na ich straży. Stracę ich oplakujemy gorąco, ale i godzimy się z tem, jako z przykrą koniecznością każdej wojny, zwłaszcza zaś tej, dla nas mogącej uchodzić prawie za świętą. Matka Polka, wyprawiając swego syna na pole walki, gdy Ojczyzna była w potrzebie, przypominała bardzo matkę Spartankę, zegnającą swego jedynaka spieszącego na bój...

Żołnierz polski i jego męstwo ocaliło więc honor i egzystencję Polski w chwili dla niej najbardziej krytycznej.

Dziś, gdy patrzymy na to, jako na przeszłość, warto się przecie zapytać, co też wpłynęło tak dodatnio na postępy naszej akcji militarnej, sam bowiem duch rycerski, wobec obecnego sposobu wojowania nie wystarczy.

Głównymi czynnikami, które tak dodatnio wpłynęły na sprawność bojową naszego żołnierza, walczącego niejednokrotnie w warunkach bardzo dla siebie niepomysłnych, było w pierwszym rzędzie przeświadczenie, że walczy o swoje i broni swego, poza tem jego wrodzona inteligencja, podnoszona stale w sposób bardzo racjonalny.

I pod tym właśnie względem widzieliśmy ogromną różnicę między systemem, jaki panował w byłej armii austriackiej, a stworzonym przez nasze sfery kierownicze. Tam wpajano w żołnierza, że walczy za cesarza, tu, że o swoje święte prawa.

Poza tem wielcy strategicy z poza zielonego stolika wiedeńskiego uważali, iż żołnierz może się obejść zupełnie dobrze bez wszelkiej oświaty (z którą sami byli zazwyczaj na wojennej stopie...) i patrzyli z nienawiścią na wszelkie starania w tym kierunku, mające ponoczyć żołnierza, że jest on nie tylko „cesarskim dzieckiem”, ale i obywatelem swego kraju, mającym wobec niego prawa i obowiązki. To jednak sprzeciwiało się zasadom wszechpanym w serce i umysł żołnierza od pierwszej chwili pobytu w koszarach. Tam uczono go, że nie wszyscy ludzie są ulepieni z jednej i tej samej gliny. Cesarz i arcyksiążęta są z najprędniejszej, gorszej sorty gliny na ulepienie generałów i oficerów, jeszcze późniejszej na *Mannschaft*. Ale w każdym razie jest to glina, gdy natomiast „cywile” ulepieni są z najordynarniejszego błota... I w myśl tych „zasad”, czuł się żołnierz stosunkowo swego do cywilnej publiczności.

Jednak i między ulepienymi z gliny zrobiono wielką różnicę. Co innego oficer, zupełnie co innego żołnierz... Uczono go zatem, aby strzegł wielkiego honoru, jaki spadł nań z chwilą przywdziania czapki „z bączkiem” (niestety, niektórzy panowie oficerowie sami tego nie przestrzegali...), traktowano go przecie bynajmniej nie po ludzku, obawiając się, aby to nie obniżyło sprawności wojskowej żołnierza i nie rozlaźniło przypadkiem dyscypliny, gdyby się przypadkiem skądś dowiedział, że jest nie tylko żołnierzem, ale i człowiekiem-obywatelem.

W armii polskiej, od pierwszych chwil jej powstania, panuje duch zupełnie inny, i, jak się pokazuje, armii, jako takiej, nie tylko to nie szkodzi, owszem, wychodzi jej na dobre. Nasz żołnierz wie, że jest obywatelem kraju, że ma wobec niego obowiązki, w przełożonym widzi zaś równocześnie i towarzysza broni, do którego odnosi się z zaufaniem i miłością. W ten sposób tworzy armia jedną rodzinę, należycie zharmonizowaną, co bynajmniej nie przeszkadza, że panuje w niej i wzorowa dyscyplina. Nasz żołnierz, wypełniając rozkaz przełożonego, powiada sobie, że to jego powinność, austriacki zaś, że jest do tego zmuszony i kontent był, gdy się udało zbyć byle czem.

Poza tem wpływa bardzo dodatnio na żołnierza, jeżeli widzi, że jego przełożony, wyższy czy niższy, zarówno z nim naraża się na niebezpieczeństwo, a nie kryje się przed nim. Naczelny wódz armii austriackiej wydawał rozkazy z poza zielonego stolika, nieraz o kilkaset kilometrów za frontem, polski Wódz Naczelny i jego zastępcy nie wahają się stawać w jednym szeregu z walczącym żołnierzem i w ten sposób dodają mu ducha.

Wreszcie kierownictwo spoczywa u nas w rękach odpowiednich, dojdzie do wyższych stanowisk ułatwiają faktyczne zdolności, a nie urodzenie, nie wydaje się też rozkazów, które musiałoby się potem odwoływać. I w tem wszystkim leży tajemnica powodzenia naszego oręża. Mądry rozkaz, spełniony sprawnie przez inteligentnego żołnierza, musi osiągnąć swój cel, spełnia się go zaś tem ochotniej, że pochodzi od osobnika, do którego ma się zaufanie, z którym dzieli się wspólną dolę żołnierską.

Pod tym względem może armia polska służyć za wzór innym. Jest wprawdzie zdemokratyzowaną, ale w sposób bardzo umiarkowany, nikomu przecie nawet ani przez myśl nie przejdzie, aby żołnierz miał swym przełożonym dyktować swą wolę.

Taka armia, jak polska, daje też pełną gwarancję, że przeznaczenie swe spełni w zupełności i nie zawiedzie położonego w niej zaufania.

I słusznie też rzecz można, że w wyciągu hipoteczonym r. 1920., którego „karta ciężarów” jest tak zababrana, jedynym może jasnym punktem są sprawy natury militarnej, załatwione bez ujmy dla wiekowej tradycji, która kazała być Polsce dawniej przedmierzem chrześcijaństwa, dziś cywilizacji.

Z taką armią, jak nasza, można się w samej rzeczy wybrać na zdobycie całego świata!

